***Zuzanna Orlińska***

***Przeprowadzka***

Rok temu przeprowadziliśmy się z kamienicy w Śródmieściu na to nowe strzeżone osiedle. Ta decyzja (podjęta, jak zawsze, przez mamę) spowodowała straszliwą kłótnię rodziców. Ojciec nie chciał nawet słyszeć o nowoczesnym chronionym apartamentowcu. Wymachiwał rękami i kzyczał, że mama chce go wykończyć artystycznie, że on w takich warunkach nie będzie mógł tworzyć, bo żeby tworzyć, musi się integrować z tkanką miejską. A strzeżone osiedle nie ma żadnej tkanki, to nie jest w ogóle miasto, tylko sypialnia zamożnych pracowników korporacji, którzy nie mają kontaktu z normalnym życiem.

Mama wysłuchała go ze spokojem.

- Ty i tak nie masz kontaktu z normalnym życiem - powiedziała. - A poza tym teraz normalne jest właśnie życie pracownika korporacji, a nie jakiegoś artysty, który robi histerie nie wiadomo o co.

Ojciec poczuł się zmiażdżony (tak mi potem powiedział) i nie odzywał się przez trzy dni. Trzeciego dnia zdarzyło się coś. co sprawiło, że zmienił zdanie w sprawie przeprowadzki. Wiedziałam, dlaczego mama chce się przeprowadzić na strzeżone osiedle, jakimś cudem jej adres trafił do internetu i bez przerwy pielgrzymowały do nas nastolatki, chcące zobaczyć na własne oczy ulubioną autorkę. Mama była dla nich miła, pozwalała sobie zrobić zdjęcie, dawała autografy i grzecznie wypraszała panienki, jeśli wyglądały na takie, co chcą się bardziej zadomowić. Musiała jednak mieć tego serdecznie dosyć. Nawet kiedy chorowała na grypę, nie mogła sobie chodzić w szlafroku, tylko ubierała się i malowała rzęsy w obawie, że zaskoczy ją jakaś wielbicielka.

Ale wtedy, trzy dni po strasznej kłótni, mama akurat poszła do dentysty. Kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi, tata otworzył i zobaczył na progu dwie dziewczyny, na oko szóstoklasistki, które oczywiście zapytały o mamę.

Tata zwykle podczas takich wizyt zaszywał się w swojej dziupli, nie miał więc dotąd doświadczenia z szóstoklasistkami. Uprzejmie wytłumaczył, że ich ulubionej pisarki nie ma w domu.

- To nic - powiedziała ta bardziej wygadana. - Możemy na razie obejrzeć mieszkanie. Ogłupiały tata wpuścił je za próg i, trochę zakłopotany, zaczął oprowadzać po pokojach. Panny w nabożnym skupieniu obejrzały kuchnię, mój pokój (pech chciał, że byłam w szkole, bo nigdy bym na to nie pozwoliła), łazienkę i toaletę. Najdłużej przebywały w pokoju mamy, każda z nich chciała dotknąć jej biurka i komputera, a jedna nawet zajrzała do szafy i oglądała mamine bluzki. Kiedy zbliżały się już do wyjścia, próżność artysty wzięła górę nad zakłopotaniem i tata z dumą otworzył drzwi swojej dziupli.

- A tu piszę ja.

Dziewczynki spojrzały po sobie spłoszone, nie wiedząc, jak zareagować. Zaszemrały coś między sobą, wreszcie ta bardziej wygadana zapytała:

- A co pan właściwie pisze, panie Ciszewski?

Mój tata nie nazywa się Ciszewski. Nazywa się Marcin Chrobot i jest sławnym poetą. Dwadzieścia lat temu dostał nagrodę imienia Kościelskich, a jego tomik Napowietrzne jazdy nominowany był do Nike jakoś tuż przed moim urodzeniem. Utwory mojego ojca znaj¬dują się w wielu antologiach polskiej poezji współczesnej. W Wikipedii można przeczytać, że należy do „najwybitniejszych twórców urodzonych w drugiej połowie lat sześćdziesią¬tych”. Ostatni tom jego wierszy osiągnął nakład ośmiuset egzemplarzy i to był podobno spory sukces.

Po wizycie tamtych szóstoklasistek tata ustąpił i zgodził się na przeprowadzkę.

- Teraz już wiem, co ty tu musisz przeżywać - powiedział mamie. - Trzeba walczyć o odrobinę prywatności.

W parę miesięcy później przenieśliśmy się do nowego mieszkania. Tata był na początku nieswój i chyba niezbyt szczęśliwy, ale już po tygodniu jego mały pokoik na wprost wejścia do złudzenia przypominał dawną dziuplę — tak samo zagracony, pełen książek, płyt, gazet i kubków po herbacie, w których tkwiły ogryzki jabłek. Bo tata, kiedy rzucił palenie, zaczął nałogowo jeść jabłka. Wypala... tfu, pożera dwa kilogramy dziennie. A ogryzki zawsze upycha do pustych kubków i szklanek.

Po jakimś czasie tata odkrył również pobliski park i malownicze ogródki działkowe otaczające osiedle, a wreszcie musiał przyznać, że Stary Mokotów ma także całkiem niezłą tkankę. Innymi słowy — przyzwyczaił się.

Mnie oczywiście nikt o zdanie nie pytał. Tak to już zawsze jest — wszystkie domowe burze przetaczają się nad moją głową, lecz ja nie biorę w nich udziału. Wydaje mi się, że rodzice często nie zdają sobie nawet sprawy z mojego istnienia...

No, może teraz trochę przesadziłam.

W każdym razie, gdyby mnie ktoś o to zapytał, odpowiedziałabym, że ja się nie przyzwy-czaiłam i nie przyzwyczaję. Mieszkanie jest całkiem fajne. Mój pokój - znaczne większy niż poprzedni. Ale cala reszta...

Przede wszystkim nikogo tu nie znam. Tam przynajmniej miałam Mańkę, koleżankę z podwórka. Można nawet powiedzieć — przyjaciółkę. Tu nie ma podwórka, a ludzi twarzą w twarz spotyka się właściwie tylko w windzie zjeżdżającej do garażu.

Codziennie rano, wychodząc z naszym psem Kluską, obserwuję niezmiennie taki sam widok: jakby na dany sygnał drzwi wszystkich garaży otwierają się i, jeden za drugim, wyjeżdżają z nich ogromne terenowe samochody. Ktoś mógłby pomyśleć, że pracownicy nadleśnictwa wyruszają na poranny objazd Puszczy Białowieskiej, gdyby nie to, że za kierownicą zwykle siedzą mężczyźni w garniturach i umalowane kobiety w eleganckich garsonkach.

Czasami na tylnym siedzeniu widać dzieci poupychane w fotelikach albo jakiegoś znu-dzonego nastolatka. Przyglądamy się sobie przez szybę w chwili, kiedy samochód czeka, aż otworzy się szlaban broniący wstępu na osiedle. I tyle mam kontaktu z rówieśnikami z sąsiedztwa. ,

*Fragment książki Am słowa o Zosi!*